

# DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

## Dodatek kulturalno-literacki

### Boże Narodzenie w nowszej sztuce polskiej

Dla wyobraźni polskiej długo pozostawały postaci N. P. Marji i świętych związane z konwencjonalnym przedstawieniem, przeniesionem ze sztuki obcej. W stosunku tym do przedstawień świętych nie różni się zresztą malarstwo polskie XIX w. od przyjętych powszechnie w sztuce europejskiej kanonów. Malarstwo religijne XIX w. posiada postaci dziwnie blade, pozbawione zarówno pełni życia jak i też głębszych treści duchowych. Nic też dziwnego, że nie mogły one wywołać silniejszej sugestji, tembardziej gdy wzorowano się na obrazach z innych epok stylowych. Zapominano jednak o tem, że owe dawne przedstawienia związane były żywiej z ówczesną wyobraźnią, były one niejako przetransponowane ze świata rzeczywistego do rzeczywistości dzieła sztuki. Dość wspomnieć quattrocento włoskie, gdzie w sztuce Botticellego czy Fra Filippa Lippi nie brak i scen z życia rodzinnego zwyczajnej florentynki.

Na północy van Eyck wyobraża Madonnę jako pyszną patrycjuszkę, a Hans Holbein umieszcza wprawdzie u nóg N. P. Marji klęczących mieszczan i fundatorów ale nie różni się ona od nich, choć wyniesiono ją na tron. Jest ona jedną z tych mieszczek niemieckich.

Wiek XIX natomiast nie považał się świętych sprowadzić na ziemię. Sztuce religijnej XIX w. brak szerszego technienia, a przez oparcie się o wzory dawne obrazy stają się zimne, pozbawiane głębszych pierwiastków. Wytwarza się akademizm, dość wspomnieć w malarstwie polskim nazwiska Oleszkiewicza, Suchodolskiego, Rejchana.

Przyszła jednak chwila gdy w związku z ogólnym rozwojem sztuki polskiej otwarły się przed malarstwem religijnym zgoła nowe horyzonty. Malarstwo polskie, począwszy od lat osmdziesiątych ub. w., choć związane z ogólnym rozwojem artystycznym, staje się silniej, niż przedtem wykładnikiem odmiennej psychiki narodowej. W związku z tem kształtować się poczyna inne poczucie formy, jak i też realizacji domagają się nowe treści tematowe.

Jednym z artystów, w twórczości których elementy te przychodzą ze specjalną siłą do wyrazu jest niewątpliwie Jacek Malczewski. Nie tutaj miejsce wszcząć rozważania o polskości sztuki jego zainteresuje nas rodzaj wyobrażenia N. P. Marji. Malczewski jest tym, który ją sprowadza na ziemię polską, daje jej za tło krajobraz, który jak nikt inny odtwarzał wiernie, wnikając w jego nastroje. W obrazach Matka Boska z chłopaczkami (1899) N. P. Marja (1894) umosi się Matką Bożą z Dzieciątkiem na ręku w powietrzu ponad polną drogą, wiodącą wśród łąk w głąb. Przy drodze klęczy oddany ekstazie wiejski chłopak w

zgrzebnej koszuli a obok niego znajdują się chłopak i dziewczynka, pasąca gęsi. Wszystkie te postaci związane są z naszą rzeczywistością wprost namacalną.

A gdy Malczewski przedstawić chce adorację Matki Boskiej (obr. ol. 1910 r.) umieszcza na cokole postać wiejskiej kobiety z dzieckiem na ręku — a kornie schylają się do jej nóg wędrowiec z tobołem pól zwierzęca Chimera, fauny a Muza przyprowadza za uzdę pegaza. Jest to wprost rewolucyjna przemiana zamiast zimnych znaków, jakimi były owe przeniesione ze sztuki obcej postaci, sugerują nas żywe symbole, pulsujące pełnią uczucia.

W twórczości Malczewskiego spotkamy też przedstawienie Bożego Narodzenia, Szopka (obr. ol. 1904) N. P. Marja jest tu młoda, zdrową kobietą wiejską, w stroju ludowym, a w żłobie spoczywające Dzieciątko nie różni się niczem od niemowląt. Do tego żłobku w zwyczajnej stajence przybyli trzej królowie, lecz jakże różni od konwencjonalnego ujęcia, pozatem znajdują się tu postaci, które w wyobraźni polskiej stanowią pewne symbole. Niechże ich obecność wytłumacza słowa Lucjana Rydla.

„...Jeńcy świata i tułacze  
Co królestwo swe żebracze  
Noszą w sobie wiecznie wszędzie,  
Biegają ku jasnej Koloradzie  
A serce w nich płacze.

Nie z weselem przyszli w tonie,  
Z osłem nie w złotej koronie  
Przed tym żłobem kornie klęczą —  
Ból żelazną im obręczą  
Ścisnął sine skronie.

Dary swoje niosą oto  
Nie kadzidło, mirrę złoto,  
Jeno rany i kajdany  
I niewolę druh znękany  
I wnętrzną zgryzołę.

A kolenda im ukaże  
W gloriach i niebiańskim czarze  
Matkę z Synem w złotym blasku  
Na częstochowskim obrazku —  
I jękną Łazarze...!

Takie wyobrażenie M. Bożej tłumaczy się jedynie w łączności z całością twórczości Malczewskiego, w której wyrażają się w pełni wszystkie pragnienia i dążenia ówczesne polskie, a dla umysłowania ich artysta sięga po

symbole. Okazuje się więc, że Malczewski nawet w przedstawieniu tematów religijnych nie zdołał się wyzwolić od owej siły fatalnej, która go wiązała z ówczesną rzeczywistością polską. Elementy które stanowią podstawę jego twórczości, nie zanikną wobec motywu Bożego Narodzenia, dwa te światy zaczynają się przenikać by zlać się w jedno, w rzeczywistość dzieła sztuki.

Malczewski był ostatnim z romantyków, zamyka on również epokę, która żyła martyrologią narodową. Zjawisko przetwarzania się psychiki zbiorowej nie pozostaje bez wpływu na kształtowanie się sztuk plastycznych. Malarstwo, któremu w ciągu ub. w. przypadała tak ważna funkcja społeczna, a raczej narodowa, zaczyna się stawać dziedziną niezależną. Coraz to silniej przychodzą do wyrazu inne elementy.

Jak wyglądać będzie w nowym ujęciu motyw Bożego Narodzenia? Ciekawości, że motywy religijne bardziej pociągają artystów, których twórczość nosi na sobie wyraźne piętno odrębności rasowej. Do takich należy w pierwszym rzędzie Kazimierz Sichulski.

W dorobku jego artystycznym znajdujemy szereg dzieł, których tematem jest Boże Narodzenie, jak Pokłon Trzech Króli (1913 — karton do mozaiki), Boże Narodzenie (1922 — karton do witrażu), Pokłon Trzech Króli (1925 tempera), Szopka (1925 — tempera).

Najbardziej monumentalnym jest Pokłon Trzech Króli z r. 1913. W części środkowej siedzi nawprost N. P. Marja w stroju góralskim, karmiąca Dzieciątko, po prawej św. Józef, po lewej widoczna głowa wołu. Pomijając już walory formalne i kompozycyjne tego dzieła, warto się zastanowić nad samą koncepcją Madonny. Z postaci konwencjonalnej malarstwa XIX w. zamieniła się w istotę z ciała i krwi, kobieta, której danem było urodzić Zbawiciela świata posiada w dziele Sichulskiego jakieś siły żywiołowe. Ta chłopka polska w dostojności pracy i macierzyństwa godna jest miana Matki Bożej. Przedstawienie to bliższe nam jest,

niż owe postaci ustalone konwenssem akademickim, tem bardziej, że przybawają jeszcze postaci (w bocznych kartonach) królów i pasterzy, oparte na typach polskich.

W dalszych jednak koncepcjach Sichulskiego wzrasta ilość postaci, ustala się specjalny rodzaj przedstawienia szopki. Szopka z r. 1925 w formie tryptyku jest specjalnie silnie związana z charakterem krajobrazu naszego. W części środkowej tryptyku znajduje się szopka, a przez wrota zaglądamy do ciasnego wnętrza, gdzie na słonie spoczywa Dzieciątko pod opieką Matki i św. Józefa, po lewej stronie tryptyku spieszą trzej królowie na koniach, a w prawym skrzydle znajdują się pasterzowie, którym anioł wskazuje drogę.

Indywidualność Sichulskiego o tak wyraźnym piętnie narodowym zaznacza się nie tylko w ukształtowaniu koncepcji, ale i w wprowadzeniu poszczególnych postaci, a nawet akcesoriów. Coraz to bardziej zrasta się szopka Sichulskiego z pojęciami wytworzonymi przez wyobraźnię polską. Zaznacza się oddziaływanie kołęd naszych. Do otwartej szopki (tempera 1925 r.) wpadają platy śniegu, duszno i mroczno w ciemnej szopie z nadmiaru postaci — N. P. Marja z Dzieciątkiem, św. Józef, wół o osioł, trzej monarchowie z darami i z orszakiem, a temu wszystkiemu przegrywa na skrzydełkach aniołek skrzydlaty — pucyfowate dziecko wiejskie, którego skrzydełka posiadają motyw pawich piór. Do żłoba zagląda ciekawie, zadzierając główkę ptaszka.

Nietylko pewne motywy formalne, zwłaszcza dekoracyjne są pochodzenia ludowego, ale też ujęcie treści tematowych. Sichulski świadomie czy podświadomie ulega czarowi kołęd ludowych, choć wpływy te zdoła zasymilować.

Z całą nieokielznaną siłą swego temperamentu przejmują się duchem i nastrojem kołęd Zofja Stryjeńska. Ilustruje je dwukrotnie, jeszcze w r. 1915 jako Zofja Lubańska drugi raz w Warszawie dla wydawnictwa Buriana.

Bujność i rozmach kołęd udziela się Stryjeńskiej, groteska bawi ją i kuszą, chóry anielskie w spiesznym ruchu podążają naprzód, pełno groteskowych postaci ludowych. Zaledwie Madonnę i Dzieciątko traktuje poważnie, ale św. Józef musi już wziąć miotłę do ręki i naprawdę zamiata.

Nie jest to oczywiście sztuka religijna czy kościelna, ale skoro i kołedy dopuszczane są do kościoła, mogą i poczęte z ich ducha ilustracje zainteresować tembardziej, że świadczą o świeżości i szczerości uczuć. Matka Boża nie króluje na planszach Stryjeńskiej niebiosom i ziemi, lecz podobnie jak w apokryfach średniowiecznych staje się bliższą mańczką przez to, że dzieła ich warunki bytu.

### O gwiazdo betlejemską...

O gwiazdo betlejemską, rozbłyśnij nam w duszy  
i do jasnej przyszłości Naród polski prowadź,  
niech się mroki rozświetlą, niech zabrzmią wśród głuszy  
pieśni, co nas nauczą wierzyć i miłować.

Niechaj chóry anielskie na chat naszych progów  
usiądą i zanucą śpiew o szczęsnej doli:  
Chrystus, Chrystus się rodzi, a więc chwala Bogu,  
a pokój tu na ziemi ludziom dobrej woli.

Otwieramy swe serca jak kwiatów kielichy,  
niechaj łaska w nie spłynie i ducha przetworzy,  
aby zawiść przycichła, bunt i płomień pychy,  
a rozbłyśły dokoła blaski złotej zorzy.

Ks. FRANCISZEK BŁOTNICKI.

# Na Świętym Krzyżu

Na wysokiej górze, „puszczą jodłową” ocienionej, legendami osnutej a Łyscem lub Łysą Górą zwanej, wznosi się klasztor, monumentalny gmach, potężnymi szkarpani wsparty. Obejdźmy szkarpe. Przed nami wyrasta wysokopienna ściana puszczy. Gdzieś w dole, w mglistej dali rezedowa zieleń łąk, srebrzysty seledyn pół na tle błękitnawej przestrzeni. Ramy obrazu — to ostra linia muru, podcinająca od dołu leśną dal, i szkarpa, powleczone patyny brązem, na którym szmaragdem i szafirem mienia się pióra rozpostartego w wachlarz pawiego ogona. Tak w lecie wygląda obraz. A zima wprawia w ramy mozaikę z czarnych jodeł gałęzi, z białych śniegu kłoci i z turkusowego nieba.

Wejźmy do wnętrza gmachu. Białe, długie korytarze powiodą nas do wspólnego refektarza o gotyckim, strzelistym sklepieniu. Do okien dał modrooka zagłada i puszcza ciemnozielona. Widziała niegdyś tu ludzi, Bogu oddanych, straż przy skarbie mistycznym, ułamkach Krzyża Św. pełniących. Widziała królów — pańników długi szereg. Widziała skromnego zakonnika, jak pisał „Kazania Świętokrzyskie”. A teraz widzi tu największych w Polsce przestępców, strzeżonych przez kraty i zamki, przez strażników z palcem na cynglu karabinu.

Zapomnijmy o tem na chwilę i pograjmy się w przeszłość. Ale musimy też odegnąć od siebie świadomość, że to nie ten gmach już, co królów niegdyś gościł. Nie! ten dopiero w końcu XVIII w. po pożarach 1777 i 79 r. został wzniesiony. Trochę się tylko starych murów zostało. I nie można tu skupić myśli. Szczęk kluczy w zamkach, meldunki strażników, a przede wszystkim widok szarych postaci w więziennych ubraniach nie pozwala oderwać myśli od teraźniejszości, która się tu, w tem miejscu, faski i cudów niegdyś pełnem, w najgorszej, w najboleśniejszej swej formie — formie więzienia przejawia. Choć może niejedyn bezrobotny pozazdrościłby więźniom tutejszym utrzymaniu i mieszkania, oświetlonego elektrycznością, łazienek i kuchni parowych, a także i tego górskiego powietrza, żywicznym tchnieniem puszczy przesyconego. Powietrza, któreby mogło goić płuca, żarte gruźlicą. O sto metrów niżej tu tylko niż w Zakopanem. Idźmy stąd! — by szukać przeszłości. Może w niej iskry jeszcze znajdziemy. Może one rozplamią kiedyś serca ludzkie tak, że nie będzie trzeba już więzień na świecie. Bo niema tak doskonałej formy ustroju społecznego, aby mogła zapewnić udźwigniętej, tragicznie między złem a dobrem rozdartej ludzkości — spokój.

Idźmy do kościoła. Wiedzie doń wąski korytarz, pół-lukami sklepienia nakryty. Reszta to krużganka, który niegdyś wirydarz klasztoru otaczał. Zamurowane, jednak widzialne jeszcze arkady świadczą o pierwotnym korytarza przeznaczeniu. Pozostał jako ślad XII w., z tyłu pożarów ocalała, najstarsza część budowli. Najmłodszą, obok klasztoru, jest kościół. Brat Werner, architekt przedziwny, neoklasycysem modnym porządkiem wnętrza kościoła skomponował, gdy mu OO. Benedyktynów świętokrzyskich zgromadzenie, po wielkich pożarach w końcu XVIII w., świątynię z gruzów dźwignąć poleciło. Białe ściany, popręczone pilastrami, tworzą tło dla obrazu Trójcy Świętej w

głównym ołtarzu. Subtelność brązowych i kremowych tonów, miękkość w rysunku zdradzają pędzel Smuglewicza. Najsilniejszym akordem w tej harmonii bieli ścian i żółknących aż do nasycenia brązem odcieni obrazu jest złocisty połysk barokowego tabernakulum w kształcie kuli, podtrzymywanej przez anioły. Ale tę cichą, szlachetną harmonię maćca brudne linie rusztowań, oznak heroicznego wysiłku proboszcza, próbującego ratować kościół od ostatecznej ruiny. Przez szczeliny w barokowej fasadzie, popękanej od czasu, gdy Austriacy w r. 1914 wysadzili kościelną wieżę w powietrze, wiatr, deszcz i śnieg wślizguje się do wnętrza.

W smutnym stanie jest i kaplica Oleśnickich. Oszczędziły ją pożary, ale nie czas, którego niszczącej potędze nikt się przeciwstawił — w celu ratowania tego pięknego zabytku architektury XVII w. — nie chce. Zbudował ją w latach 1614 — 20 kasztelan Mikołaj Oleśnicki. Założona na kwadracie, nakryta jest kopułą, na świętopietrowej rzymskiej wzorowana, a freskami Rejhana zdobną. Po lewej stronie ołtarza nagrobek Mikołaja Oleśnickiego i jego żony Zofii z Jabłonowskich marmurem się czerni. Tylko twarz i ręce kasztelanowej rozkwitają bielą alabastru. Tak naturalnie układają się linie sukni, tak wyraźna fałda zarysowała się na jej przyocisniętej do płyty nagrobka twarzy. Barok to sprawił, kapryśny, realistyczny barok, niedawny w Rzplitej gość. Niedawny i jeszcze siebie niepewny, bo przecie

kasztelan, w pełnej zbroi leżący, renesansowo, idealistycznie jeszcze jest potraktowany. Tylko w rękach jego, nerwowych i subtelnych, znów realizm baroku znać o sobie daje. Bo też ten nagrobek jest jednym z najpiękniejszych przykładów szczęśliwego połączenia obu stylów w Polsce, tak szczęśliwego jak harmonijny stop baroku i renesansu w pałacu pobiskupim w Kielcach. W głównym ołtarzu jarzy się relikwiarz, zawierający wiecznie żywe serce świątyni — cudowne relikwie. Od czasu pierwszych Piastów aż po dziś dzień jaśnieje nad „puszczą jodłową” blask Krzyża, śląc promienie w mroki burze i szaty historii.

Długosz opowiada, jak św. Emeryk, królówic węgierski, na łowach zbłąkany, jelenia cudownego ujrzał. Ten go z dzikich puszczy ostępów wywiódł. Emeryk zaś uprosił Bolesława Chrobrego, iżby w sercu puszczy onej, na szczycie góry, Łysą zwanej, kościół i klasztor zbudował, a na straży relikwii, przez niego, Emeryka, ofiarowanej, zakonników osadził. I stało się to, mówi Długosz, w r. 1006. Legenda o św. Emeryku jest i w innych źródłach, co dowodzi, że relikwie z Węgier przywiezione być musiały. Znaczenie klasztoru i kościoła pod wezwaniem Św. Trójcy, na Łysej górze potężniejsze z każdym wiekiem, choć zakonników jest niewiele. Klasztor jest w miejscu dzikiem i odludnym, a fantazja ludu czarownicom na gołoborzacji Łysej górze zbierać się każe. Zbójców też moc w puszczy się ukrywa. Z polskiej krajny niewiele tylko habit benedyktyński przywdziewa, bo wolni je no ludzie wstępować do zakonu mogą, a ci chętniej zbroję na się kładą, niżby się

## Dwa dramaty Hansa Schwarza

Jedną z cech hitleryzmu jest tradycjonalizm, stąd w niemieckiej twórczości dramatycznej łatwo dziś zauważyć zwrot do przeszłości. Sceny zalewa poprostu powódź dramatów historycznych na tematy rodzime i obce. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wkroczyli na deski teatralne Cromwell, Gustaw Waza, Klejst (poeta niemiecki, który jako pruski major zginął w jednej z bitew wojny siedmioletniej), cesarz Henryk VI, Luter, Ulryk von Hutter (wybitny humanista i zwolennik reformacji) oraz wiele innych postaci, między niemi nawet Żyd Süß Oppenheimer z Hajdelbergi, półlichwiarz, pół maż stanu, powieszony w r. 1738 po śmierci księcia Wirtembergi, którego był ministrem. Nie trzeba chyba dodawać, że sztuka nie ma nic wspólnego z idealizującą Süssa powieścią Liona Feuchtwangera (opartego na niej filmu zabroniono niedawno w Niemczech) a autor, którym był Eugenjusz Ortner, przedstawia zbrodniczą postać zgodnie z rzeczywistością i wyzyskuje ją do propagandy antysemitycznej. Jednym z dostawców scen niemieckich jest Hans Schwarz, wysoko ceniony przez krytykę, do czego przyczynia się także jego długoletnia przynależność do ruchu hitlerowskiego. Był on przyjacielem Moellera an der Bruck, znanego z dzieła „Trzecia Rzesza”, będącego rozwinięciem doktryny narodowo-socjalistycznej. Na tę książkę zwrócił Schwarz nanowemu uwagę społeczeństwa, wydając ją w r. 1930. Ogłosił później parę tomów poezji, głównie patriotycznych, a w tym roku wystawił dwa dramaty historyczne.

Jeden z nich, „Angielski buntownik” osnuty jest na spisku hr. Essex przeciw Elżbiecie. Bohater występuje jako młody rewolucjonista, dzielny i nieskrępowany Faustem. W walce z tą kamarylą galerii trzymających się za ręce starych polityków z otoczenia królowej. Są to Bacon, Raleigh, Burleigh, ambasador hiszpański i niemiecki czarownik, nazywany Faustem. W walce z tą kawaryłą Essex ulega. Pewne sceny zbiorowe tej

sztuki są efektowne, a połączenie akcji miłosnej z polityczną, udało się dobrze.

Drugie dramaty Schwarza nosi tytuł „Książę pruski”. Jest to ów Ludwik Ferdynand, który poległ pod Saarbriücken, w jednej z pierwszych bitew fatalnej dla Prus kampanji 1806 r. Książę był naturą bohaterską, żadną sławy i czynu, więc dobrze nadaje się na centralną postać dramatu, gdyż następcza się przeciwstawienie go skostniałym w rutynie, butnym w chwilach powodzenia, a nikczemnym w nieszczęściu rządom Prus ówczesnych.

Wyzyskał był tę okoliczność inny dramaturg, Fritz von Uruh, którego „Ferdynanda ks. pruskiego” zabroniono grać na scenach niemieckich z powodu zbyt przejrzywych aluzji od stosunku między Wilhelmem II, a jego synem. Schwarz nie kładzie nacisku na wyższość Ludwika Ferdynanda nad współczesnymi. Wprowadza szereg postaci historycznych, które miały się wybić podczas tzw. Befreiungskriege — a więc z mężów stanu Steina, z generałów Bliche-ra, jego szefa sztabu Gneisenau i Marwitza. Królowa Luiza przedstawiona jest zgodnie z tradycją jako płomienną patriotka. Zgodnie z obyczajowemi poglądami hitlerowców kochanka księcia Paulina Wieser reprezentuje kult ogniska domowego.

Akcja obraca się około zatargu księcia z królem, jego wygnania z dworu, triumfalnego powrotu i bohaterskiej śmierci pod Saalfeldem. Dużo naturalnie patriotycznych deklamacji, a nuta społeczna odzywa się w zakończeniu, gdy książę każe królowi zanieść przestrożę, aby opiekował się biednymi i uciśnionymi.

Najciekawiej jednak wyszedł w tym dramacie problem religijny. Książę jest zwolennikiem „niemieckiej” czy pruskiej religii siły i z tego powodu brutalnie przerywa pacyfistyczne kazanie proboszcza, poczem następuje dłuższa dysputa między nimi oboma. Otóż w dysputie tej stanowczo bierze górę duchowny.

N. P.

surowej regule poddać mieli. Cudzoziemcy zaś rzadko do wiecznej wojny szarpanego kraju przybywają. Imiona opatów wskazują, że już mniej więcej od połowy XIII w. żywił polski sobie w klasztorze drogę toruje. Liczba zakonników nigdy, nawet w czasach największej świetności klasztoru, powyżej 30-tu nie sięgała. Dziwne są losy tej zagubionej w lasach pustelni. Skromni, oddani wyłącznie niemal kontemplacji, ascetyczni zakonnicy przeobrażają się stopniowo w panów rozległych dóbr, arcyklasztor łysogórski wiedzie spór o pierwszeństwo z sieciechowskim i tymieckim. Jeśli opat tymiecki nad stu wsiami panował, to łysogórski w każdym razie 50-ma rządził, prócz tego miał klasztor kuźnice, winnice, „bałwany” soli z żup bocheńskich przywożone, dziesięciny, kapitały i skarbiec tajemny. Roczny dochód wynosił około 70 tysięcy złp. Płynęły bo też dary z całej Polski. Pielgrzymowali tu książęta i królowie, wielmoże, szlachta i chłopie. Jeżeli z jednej strony Bolesław Kędzierzawy, Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło, królowa Bona a później sami zakonnicy budowali, rozszerzali, ozdabiali, obdarzali i odbudowywali tylekroć spalony i złupiony kościół i klasztor, jeżeli władcy, od Bolesława Wstydlwego do Jana III, nadawali przywileje, o czym świadczą zachowane kopje pergaminów, jeżeli bogaty kasztelan Oleśnicki zbudował wspaniałą kaplicę, to także z drugiej strony wzrusza wzmianka o Michale Osieckim, organście, który z oszczędności swego życia kapliczkę Matce Boskiej zmurował.

Jak potężną musiała być siła, promieniująca z tego miejsca! Dowodzi jej i legenda, która opowiada, jak w roku 1370 dzicz litewska po złupieniu klasztoru i zamordowaniu wielu zakonników nagłe w drodze zaraza rażona została, a rozumiawszy kłeski przyczynę, uwieziona relikwie świętej klasztorowi zwróciła. Dowodzi tej potęgi i fakt, że po kazaniach św. Jana Kapistrana w Krakowie ze stu blisko profesorów i studentów, którzy Akademię Krakowską dla życia klasztoru opuścili, znaczna część się na Łysą górę udała. Tu modlił się Jagiełło przed wyprawą grunwaldzką, tu korza się przed Krzyżem jego potomkowie, tu Wazowie opieki i ratunku szukają. Pali się klasztor i kościół doszczętnie w połowie XV w. Zalewają go fale „potopa” szwedzkiego w XVII-tym, pali się trzykrotnie w XVIII w., lecz zakonnicy stoją wytrwale na straży polskiego Monsalwa. Jak Feniks z popiołów, tak odradza się klasztor i kościół z ruin. Mógł się poziom etyczny zakonników zniżyć chwilami wskutek nadmiaru bogactw, ale świętość, której strzegli, płonie równym blaskiem skraś wieków — dla wielkich tego świata i małych. Niema już Benedyktynów na Łysej górze. Zgromadzenie ich zostało rozwiązane bullą papieża Piusa VII-go, wydaną na skutek przedłożenia cara Aleksandra I-go w r. 1819. Budynek klasztoru stał się więzieniem i więzieniem pozostał do dziś dnia.

A jednak przez krainę „Ech leśnych” „wieńcem stubarwnym” legend opasana, zdaleka i zbliża idą gromady, jak szły przed wiekami zapatrzone w Krzyż, jaśniejący nad „puszczą jodłową”. Tam — jak maki szkarłatem od zieleni jodeł — pasiaki bielńskie się odbijają, tam znów idą kobiety z Opoczna w czerwień, podkreśloną szmaragdowemi prążkami, strojne, a za nimi ze wsi podkieleckich w ceglanych wełniakach dziewczuchy. Między nie — barwne jak kwiaty, wplata się szary, dolinny lud. Ida, mijają wsie, gdzie chaty jeszcze swarogami Światowida są zdołne, gdzie lud pradawną gwara, w tym bezdrożnym prawie zakątku, lasami od świata odciętym, w piastowskiej niemal czystości dochowana, mówi. A gdy się patrzy w oczy tym ludziom, wspinającym się drogą wyboistą i strumą wywyż, to myśli się, że nie teorie, logiczne i szare, przemoca w życie włączane, rozwałą więzień ściany i światu odrodzenie przyniosą, tylko ten, oczom pielgrzymów widzialny, nad „puszczą jodłową” jaśniejący — Krzyż.

Janina Torczyńska

# Jak to ks. Staszic po Europie wozajował?

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy to świat nie był tak mały, jak dziś dzięki temu, że ludzie nie mogli tak łatwo i wygodnie przenosić się z miejsca na miejsce. Ludzie, żyjący w XX w. nie zdają sobie często sprawy z tego, jak wiek XIX, wiek pary i elektryczności niesłychanie szybko zmienił cały sposób naszego zewnętrznego życia. Nigdzie zaś może ta zmiana nie występuje, tak wyraźnie, jak w dziedzinie środków komunikacyjnych. Ludzie współcześni, podróżujący, kolejami parowymi czy samolotami, nie mogą już dziś poprostu wyobrazić sobie, jak ciężka, uciążliwa była podróż w wieku choćby XVIII, w Europie, kiedy z jednej miejscowości do drugiej trzeba było jechać całymi tygodniami czy miesiącami.

Toteż nie od rzeczy będzie przypomnieć, jak podróżowali i co widzieli ludzie XVIII w. Tem ciekawszą zaś rzeczą będzie taki opis, że tworzył go ks. Stanisław Staszic, wybitny Polak, człowiek o którym pisze prof. Pilat za jednym z pamiętnikarzy XVIII w., — „że miał pióro maczane w elektrycznym płynie“.

Dziennik jego podróży z lat 1777-78 i 1790—91, wydany przez znanego historyka Aleksandra Kraushara, dostarcza nam wielu ciekawych szczegółów zarówno co do wyglądu ówczesnej Europy, jak i co do samej, osoby ks. Staszica.

Naprzód musimy zaznaczyć się z ówczesnymi środkami lokomocji. Jeżdżono po lądzie dyliżansami pocztowymi. W opisie takiego dyliżansu wyreczy nas ks. Staszic:

„W Paryżu spocząwszy dni kilka i przejrzenie jego na powrót zachowawszy, dnia 17 (marca) w diligence na oglądanie Lionu wyjechałem. Na uczynienie dobrego wyobrażenia o tem, co to jest francuska diligence trzeba wystawić na imaginacji swojej dużą karetę, w której 10 osób może się mieścić, przed i za kareta dwie paki, nad kareta ludzkie którym nie staje zapłacić tyle, ile do wejścia w karetę potrzeba. Oblóżowanie koni, noclegi i obiady tak są regularnie ueterminowane, że wczesnie można powiedzieć, o której pewnie godzinie, w tym a w tym miejscu stanąmy. Ciągnięta ta duża machina ośmi i dziesięć koni. Jeśliś kompanją w dyliżansie znalazł do myśli i zabawną, połowa biedy; nieszczęśliwyś, jeśli niesforna. — Zdrzymać zechcesz wtenczas drudzy gwizdać i wrzeszczeć będą. Gdy chcesz gadać i zabawić się, milczą. — Od woli

woźnicy wa wszystkim dependować musisz, Jesz i spisz wtenczas, kiedy każą, nie kiedy chcesz...“

Tak się jechało po lądzie. W Holandji natomiast, gdzie kraj był pokryty siecią kanałów, podróżowano wodą przy pomocy wielkich łodzi tzw. „batów holenderskich“.

Już z tego krótkiego urywku można poznać styl ks. Staszica, jakiś wymuszony, dziwaczny. Bo też ciekawy to był człowiek, ten Staszic. Jak z „Dziennika podróży“ widać, oburzał się na tyranję arystokracji, choć podróżował przecie z młodym Zamoyskim, polskim magnatem, jako jego opiekun i wychowawca; nie szczędził bardzo ostrych uwag pod adresem duchowieństwa, a sam był przecie księdzem katolickim. Wylaził z niego, szczególnie w czasie drugiej podróży w latach 1790—91, uparty doktryner, który urobiwszy sobie poglądy na dziełach mistrzów Oświecenia, powtarza je aż do znudzenia tam, gdzie są one zupełnie niepotrzebne. To oświecenie, faktów czy urzędzeń w różnych państwach ówczesnej Europy z punktu widzenia racjonalistycznej doktryny, w połączeniu z napuszczonym stylem Staszica, czyni często wręcz komiczne wrażenie.

A przecie ten racjonalista gorąco i głęboko wierzył w Boga i w Chrystusa, był jednym z najbardziej kochających Ojczyznę Polaków. Jakże charakterystyczne są słowa Staszica o śmierci Woltera i Rousseau:

„Dwoma dniami przed moim z Paryża wyjazdem, Wolter, wielkiego światła i wielkich błędów człowiek, w teraźniejszym wieku jedyny, do dziewięćdziesiąt prawie lat wieku lat wieku swego dojechałszy, pełen chwały i hańby, jak żył, tak i umarł, wedle teraźniejszej, filozoficznej mody, bez pokuty i śś. Sakramentów, zupełną umysłu przytomność do zgonu swego zachowawszy“.

W krótkim potym czasie zabrała śmierć z tego świata drugiego człowieka, równie extraordinarynego, a większego bezwątpienia filozofa nazwiskiem Rousseau“.

Jak w tych czasach wyglądała paryska policja, sprawa ta może i dziś interesować wszystkich:

„To prawda, że nigdzie tak dobrze uregulowanej niema policji jak w Paryżu. Kilkadziesiąt tysięcy szpiegów po wszystkich ulicach Paryża rozstawionych, szpiegi po kaffenhauzach, po szynkowniach, szpiegi w pośród samychże lotrów i filutów zmawiających się — — — szpiegi w partykularnych domach, szpiegi między

publicznymi dziewczynami, przez policje pensjonowane, donoszą regularnie o wszystkim policji która, mając pod sobą liczne żołnierstwo miejskie, jest w stanie zabezpieczyć wszystkim“.

Zwiedził Staszic Anglię, Francję, Niemcy, Austrię, Holandję, Belgię, Włochy, Szwajcarię. O narodach, kraje te zamieszkujących wydawał sąd. Warto dowiedzieć się, co sądził o ówczesnych Anglikach i Włochach:

„Ale żaden podobno nie zastanowił się nad ich (tj. Anglików) zbytnią czułością, której przyczyną — osobliwszą delikatność nerwów i imaginacja prędko się zapalająca, a która nawzajem jest przyczyną niektórych osobliwości, która charakteryzuje Angielczyków. Apprehenzya czyli bojaźń, aby nie umrzeć żebrakiem częstokroć zabija ich wpośród dostatków i szczęścia. Pozory najlepsze przeistaczają się u nich w rzeczywistość i niebezpieczeństwa nalożeglejsze imaginacja w momencie im przytomności czyni. — Lekkowierność ich jest tak lekką, że Anglię można właściwie nazwać rajem oszustów, we wszystkich kunsztach i professjach. — Niema projektu tak śmiesznego, któryby obrońców swych nie znalazł“.

Włosi: „Umysł tutejszego narodu zuchwala, lud zły, popędliwy. Wino jeszcze bardziej go zapala, czego, gdy ani edukacja ani tego weneckiego kraju policja nie przestrzega — często zwady i przy najmniejszej rzeczy, zabójstwa“.

Skarży się Staszic na prawa angielskie, że one „więcej pobłażają hultajowi, niż strzegą uczciwego“, oburza się na próżniactwo Włochów i ich zamłotowanie do zewnętrznej pompy przy braku prawdziwej pobożności itd.

Opis Włoch wypada bardzo niepoehlebnie, jeśli idzie o ludzi. Kto przeczyta te ujemne oceny ówczesnych

Włochów, tak częste w XVIII w. i później, ten dopiero może zrozumieć, że jednak faszyzm dał Włochom wiele, choćby przez to, że zatrzymując urządzenie świetnych parad i obchodów, nauczył przecie Włochów większej pracowitości. A jakże wyglądały owe słynne bagna pontyjskie, na których dziś tworzą się miasta (Littoria, Pontynia) po osuszeniu bagien. Posłuchajmy, jak to było za czasów Staszica:

„Naokoło (Rzymu), o 20 mil włoskich, razi śmiercią mieszkańca, któryby się na 30 mil włoskich, niema wsi, ani chaty, rolniczej, gdyż powietrze zaraźliwe. Ktokolwiek tylko osiadł, tego uduśliło, zaszczepiwszy w nim febrę. Jazeli więc nie ustąpi, trzęsie się przez miesiące 6 i 8, nareszcie pędzi go w puchlinę, jak beczka. Tak nędzny ma każdy koniec, kto około ziemi pracować chce. Pomimo tego wszystkiego w pośrodku tej zarazy, powstał Rzym, zawojował świat całą mocą i opinią“.

Opisał ks. Staszic w swym dzienniku podróży wielkie stolice ówczesnej Europy: Paryż, Rzym, Londyn, Wiedeń. Ale w opisach czasem zanadto gubi się w szczegółach; nie umie też oddać odpowiednio piórem czaru przyrody. Jego opis przeprawy przez Alpy czy cudów włoskiej przyrody, wypadł jakoś dziwnie b'ado. Za dużo w nim uczonego, za mało poety. Natomiast, jeśli idzie o stosunki polityczne, społeczne, gospodarze, ówczesnej Europy, to „Dziennik podróży“ ks. Staszica stanowi źródło wielkiej wagi.

Włodzisław Nowak



OR-HA.

## Kołada-gawęda

(góralska)

Cosik mi się widzi, co nie w Betlejemie  
Moluški Ponjezus prziseł na te ziemie,  
Ba u nas! Haw — w górak! W bacowskim siałasie,  
W jakijś dolinie, ka sie owce pasie!  
Haw se prziseł Jezus w blasku swojej kwaty,  
Ka som one turnie, ka te wielgie skały,  
Ka se ten potoczek wartko dołu płynie  
I burzy i zbyrka<sup>1)</sup> w caluśkiej dolinie!  
Prziseł se haw užreć nos zywot i bity;  
Zośby sie hań rodziel, ka som same zydy?  
Dejze<sup>2)</sup> Go po leciech, kiej poseł z haw, z hali.  
One zydy — zło krew — hnet ukrzizowali!  
Hawok<sup>3)</sup> sie urodziel, dej<sup>4)</sup> te turnie, skały,  
Kiej je poźrał z nieba, piekne Mu sie zdaly,  
Dej kazbyście<sup>5)</sup> poszli — nikaj na tym świecie  
Piekniejszy juz turni ni Gór nie nojdziecie!  
Kaz godniejsze miejsce Boskiego Dziedzica  
Jako nase Rysy, Giewont a Swinica?  
A nikto juz lepsi od Boga rozumi  
Co se ta potoczek hań dołu tak sumi.  
Poźrał se Ponjezus po reglak, po drodże  
I tak se ukwaleł<sup>6)</sup>: hawok sie urodzel  
I posłał se z nieba nad Giewont, z awiady,  
Takom gwiazdka nadnom i miesiacek błady,  
I posłał janiotka hań — ka te siałasy,

Aby ta pobudził bace i juhasy,  
By ta jeno wzieni — co majom pod rękóm  
I przišli z muzykom a pieknom podziękom.  
Kiej sie o tym cudzy kzewidzieli juhasy,  
Wzieni se warcicko<sup>7)</sup> kobzy, gęśle, basy.



Grający drobno<sup>8)</sup> od hali, od regli,  
Bez pyrcie<sup>9)</sup>, bez wode w dolinę hań zbiegli,  
A haj śnimi owce. Przišli i bacowie  
Panu sie pokłonić i pytać o zdrowie,  
Dali Jezusowi skórzane hodoki,

By se nie utargał nózyny o krzoki,  
Dali Mu serdocek pieknie wysywany  
I z kiedela<sup>10)</sup> owiec dwa piekne barany.  
A Noświętej Pannie<sup>11)</sup> sarówek przinieśli  
I tegom ciupazke<sup>12)</sup> lo świętego cieśli!  
A kiej się Józefek na čme<sup>13)</sup> ludu burzel<sup>14)</sup> —  
Dali Mu fajecke, by se — haj — zakuzel!  
I tym janiolockom, co ta ik prec gnali,  
By nie cudowali<sup>15)</sup> — po oscypku<sup>16)</sup> dali!  
Pote se stanęli przy samym siałasie,  
Zabrękli na gęślak<sup>17)</sup>, huknęli na basie  
I haj — zaśpiewali Niebieskiemu Dziecku  
Pieknie a cieniuško i po staroświecku:  
„Oj raty — pseraty nos Niebieski Panie!  
Takieś nam okazał wielgie zmiłowanie!  
Bez coś to nam sprawił teli honor teli,  
Cośmy Cie haw Boze pierwi uwidzieli?  
Ostań se haw snami! Niek gadajom jak kcom,  
A kiej se podrośnies — bees wielkim bacom!  
Gazduj se ta gazduj — hojby i nojduzy,  
Ino sie nie bojay halnego ni budy.  
Rośnij se ta rośnij na góralską mody,  
Nikt Ci nic nie rzekniehojbyś zrobieł skode!  
Ba my juz tyz przijdziem do Cie co niedzieli,  
Ino ta nie uchodź do tyk zydyw z teli!“

Objaśnienia: <sup>1)</sup> zbytkuje. <sup>2)</sup> przecież. <sup>3)</sup> tutaj. <sup>4)</sup> bo  
<sup>5)</sup> bo gdziebyście. <sup>6)</sup> postanowił. <sup>7)</sup> wartko, szybko.  
<sup>8)</sup> taniec góralski. <sup>9)</sup> ścieżki w górach. <sup>10)</sup> ze stada.  
<sup>11)</sup> ciupaga — toporek góralski. <sup>12)</sup> wielka ilość.  
<sup>13)</sup> gniewał. <sup>14)</sup> odkazywali. <sup>15)</sup> oszozypek — ser owczy. <sup>16)</sup> skrzypce góralskie.

# Polskie „Prowincjałki”

(Kraków w „Listach” Peławskiego)

W roku 1850 w Poznaniu u Wojkowskiego wyszła mała książeczka, zatytułowana: „Listy o Krakowie”. Autor ukrywający się pod pseudonimem „Peławskiego”, — doskonale poinformowany o trybie życia w podwawelskim grodzie, skreślił „na gorąco” dwadzieścia listów, które aczkolwiek posiadają zabarwienie czysto subiektywne — stanowią jednak bardzo ważne świadectwo, dotyczące stosunków, jakie w historycznej chwili „wiosny narodów” — panowały w tem „mieście grobów”. „Listami o Krakowie”, zwracał Peławski uwagę na powierzchowny partyotyzm, przejawiający się wszędzie, a szczególnie jaskrawo w czasie niedawnej „rewolucji w cichym zakątku” i przez śmiało, druzgoczące oświetlenie faktów, usiłował zderzyć maskę hipokryzji z ówczesnego pokolenia. Niemal że badaniu pod mikroskopem poddał Peławski błędy i wady obywateli minionej Rzeczypospolitej a one dostarczyły mu okazji do rzucenia oskarżenia, które, ucieleśnione w „Listy”, miało głosić trzem, pozostającym pod zaborami, dzielnicom polskim, o całej małoduszności, przytępieniu, martwocie i letargu tych, co za wzór patriotyzmu w oczach kraju uchodzić mieli. „Listy o Krakowie” są niezaprzeczenie dokumentem historycznym, stwierdzającym, że na psychice Krakowian ciążyła w owej chwili tragiczna atmosfera środowiska, sprzyjająca „nieprzerwalności snu” i pozbawienia głębszych wartości moralnych.

Rzadka to już dziś książeczka. Skrętnie chowana a jawnie lekceważona za poglądy w niej zawarte, umyślnie płaszczem zapomnienia otulona, swoją bezpośredniością i plastyką, przemawia do czytelnika językiem „czerwonej” młodości Peławskiego i zasługuje bodaj na pobieżne przewertowanie jej kartek.

Autor, po przymusowej emigracji za udział w szeregach powstańców Dembowskiego w r. 1846, wraca szczęśliwie do kraju z tęsknotą w sercu, a stan jaki zastaje daje mu sposobność do energicznego protestu:

„Zamiast ożywczego światła, któremu szukał, wyniosłem piersi zgniętym powietrzem nadwątlone. Kiedyś was i miasta waszego nie znał, myślałem, że ludzie stojący u wrót naszej przeszłości, wyznaczeni od narodu jako strażnicy dawnej jego chwały, jednym słowem ludzie mieszkający w tajemniczym kole trzech mogił, z tych grobów stuleciem przywalonych, potrafią wydobyć myśl co niedyś, próchniejące pod ich stopami kości ożywiały, potrafią natłoczyć się tą myślą, rozplodnić a jeśli jej wylać w całej pełni nie mogą, to przynajmniej chować w swoim sercu jako najdroższe relikwie; jako treść własnego jestestwa, jako krew płynąca po ich żyłach duchownych” (str. 5).

Po takiej apostrofie cisną się na usta Peławskiego te słowa:

„A wy podobni jesteście do owych włoskich cyceronów co bezmyślnie pokazują arcydzieła sztuki i olbrzymie pomniki przeszłości, sami nie czując, nie pojmując tego, na co uwagę drugich zwracają! Podobni jesteście do Arabów co pędzą na koniu, nie zwrócają nawet uwagi na piramidy, podobni jesteście do owych zwierząt co spokojnie pasą się na polach Maratonu lub w wozach Termopyłów! Na gruzach starego świata wykopalście sobie nory i w nich spokojnie drzymacie!” (str. 5).

Jak Diogenes z latarnią poszukuje Peławski człowieka, w którego oczach żarzyłby się jaśniejszy ogień. Darmo! „Ciężkie, duszące powietrze zaległo nad waszym miastem i żaden wiatr go nieruszy, żaden podmuch nie rozwieje. Sen letargowy owionął wszystkie głowy, a nie myślałem nigdy aby ludzie śpiący mogli jeść, pić, chodzić i żyjących udawać” (str. 6).

Kraków wedle słów Peławskiego to: „Miasto grobowe”; w którym „gdyby nie kościoły, dzwoniące (wam) podzwonne, nie kominy dymiące się od rana do wieczora, nie błoto uliczne, myślałbym, że to cmentarz w Konstantynopolu. Na ulicy wóz chłopski toczy się powoli; kilkunastu żydów stoi na środku chodnika i oto wszystko” (str. 6).

W końcu autor dochodzi do przekonania, że Kraków jest „najnudniejszym miastem w Europie”. „Wszystkich sen morzy od rana do wieczora i sporadyczne ziewanie zaraz przy śniadaniu porywa” (str. 7). Niebawem zgryźliwa uwaga przybiera taką formę: „Nikt się więc nie hawi ale też nikt nic nie robi. Stosunkowo w żadnym mieście tyle próżniaków nie znajdziesz. Żadnego ruchu, żadnego życia, żadnego zajęcia. Więc pojąć nigdy nie mogłem z czego żyje tych pięciu krakowskich księgarzy, i zapewne umarliby od dawna z głodu gdyby nie kalendarze, nie książki do nabożeństwa, abecadła i dzieła szkolne” (str. 9).

Młodzież również napawa autora „Listów” niepokojem o przyszłość narodu: „Z początku sądziłem że młodzież z tego nieszczęśliwego ogółu, tworzy jakikolwiek wyjątek. Ta młodzież uniwersytecka, treść życia narodu, ten przyszły naród. Gdzie tam! taż sama apatia, ospałość, ciężkość i lenistwo. Żadnego życia koleżeńskiego, śladu braterskości, żadnego ujęcia myśli. Wszystko zimne, czerze, bez serca i bez głowy. Dzieci stare! — I z serca wydziera się Peławskiemu okrzyk: „Żyjące mary — których nic nie zapala, nie podnosi, ani nie zachwyca! O ta młodzież! to piekielny ból w sercu każdego uczciwego Polaka, ta młodzież to najstraszliwszy dowód zgnilizny i przedśmiertelnego konania” (str. 9).

„Kiedyś — powiada Peławski — to jaśniał ten wielki dzień co całą północ rozwidniał, aż przyszła ciemna noc i wy mieszkańcy tej nocy jeśli wam kto z tamtego świata przyniesie garść żarzącego wspomnienia, mruźcie oczy i krzyczcie: on spać mi nie da!” (str. 10). Powyższe uwagi o Krakowie łagodzi Peławski stwierdzeniem, że tylko bezmierny ból dyktuje mu słowa straszliwych oskarżeń. Szyderstwem chce naprawić zło.

„Przyszedłem do was z czystym

uczuciem, a jakieście się na niem odbili, patrzcie! oto obraz, który wam podaje! On waszą jest własnością, gniewacie się na niego i jak stara kokietka radzi byście potłuc zwierciadło”. Ma jednak słowa usprawiedliwienia swego czynu, skoro mówi: „Ten jad który na was wylewam mnie pierwszej pożarł, te słowa które wam ciskam, stoczyły mi serce, zgryzły mózg; ten brak nadziei poszarpał wnętrze. Nie łzami ale krwią tylko taki ból wypłynąć może” (str. 12).

W liście trzecim wzmaga się jeszcze bardziej ton, jakim Peławski przemawia do Krakowian:

„Serca wasze to groby, po których snuje się robactwo, głowy wasze to szczudła, na których chodzi wasza nikczemność: młyn w którym własne próchno mielecie. Rozum wasz lisi z każdej dziury się wypęta, przebrnie przez każde błoto. Mali — wasze imiona bluźnią przeszłości! wasze bohaterstwo — ukradkowy artykuł we francuskiej gazecie, wasza służba publiczna — lizanie się w przedpokojach ministrów i redaktorów zachodu. Z hańbą wasza obiegacie Europę i pokazujecie policzek, na który wam napluto” (str. 16).

Z rozważań tych płynie morał, jakim czestuje Peławski społeczeństwo grodu Kraka: „Chciejcie na prawdę służyć polskiej rzeczy, porzućcie to wszystko co wedle was sprawę publiczną podnosi a podnieście samych siebie” (str. 16).

Listy następne poświęcał autor opisowi rewolucji w roku 1848. Podkreśla w nich plotkarski charakter, roznamietnionego tłumy, który żądny wiadomości oblega dworzec kolejowy i daje posłuch mętnym wieściom i niesprawdzonym pogłoskom byle młokosa, któremu pozwala się wyprowadzić w pole.

„Znowu zżymasz się na mnie, wołasz że krzywdzę naród, i kalam własne gniazdo. O, było niegdyś to gniazdo nieskalane; ale orły z niego uleciały, i brzydkie ptastwo w niem się zagnieżdżyło. Nietoperze! wy się gniewacie kiedy wam ktoś przypomni, żeście myszami, że wasze skrzydła udane, i że się słońca lekacie. Marnotrawstwem jest żyć między wami i umierać za was. — (str. 25).

Piętnuje rozpalonem żelazem egoizm i samolubstwo mieszkańców Krakowa: „W końcu każdej myśli i każdego czynu widzicie tylko siebie. Wystawiliście kramy polityczne, idźcie więc po tem błocie, w którym ruch jest nowym dla przeszłości bluźnierstwem, nową dla tej ziemi hańbą!” (str. 25).

Okn Peławskiego ujęć nie może cały system wychowania kobiet na tak zwanych pensjach, z których poza mechanicznym wyuczaniem dat i błędnego

„parlowania” nic się nie wynosi. Ty! Krakowianki jest dla autora nudnym typem Polki, wyzutej przez specjalne wychowanie z poczucia obywatelskiego.

Druga część listów (od XI — XX) poświęcił Peławski szczegółowej analizie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spośród miejsc poświęcił nie tylko systemowi, ale już z pewnym umiarkowaniem i spokojem omówił działalność naukową znacznej części profesorów.

Z tych kilku cytatów możemy się łatwo zorientować w zasadniczych myślach Peławskiego. Wyjątkową tę książkę, traktującą z całą bezwzględnością o Krakowie i Krakowianach, zawdzięczamy niewątpliwie chwili rozgoryczenia i bólu. Dużo tu przesady i pewnego mentorstwa, z którym młodzieńkiemu, bo zaledwie dwadzieścia cztery lata liczącemu, Peławskiemu nie bardzo było do twarzy. On rewolucjonista, chciał jednym ciosem listów zachęcić do poprawy, przebudować od podstaw psychikę tych „strażników grobów” i znalazł się niebawem w redakcji „Czasu”, „Peławski” to przecież pseudonim. ks. Walerjana Kalinki, tylko z okresu kiedy młodzieńcze porywy brały górę nad rozsądkiem, kiedy czyn był religią młodzieży, a patriotyzm naturalną potrzebą serca. Czerwony, radykalny Kalinka w gorących słowach przemawiał do wszystkich uczuć, które winne były zamieszkiwać dusze tych, którym w udziale przypadło kultywowanie bohaterkich tradycji wspaniałej historycznej przeszłości.

Skoro uderzyła go martwota i zepsucie społeczeństwa, nie zaważał się ani chwili chłostać je biczem błyskotliwej ironii i sarkazmu. Kalinka, wedle słów Tarnowskiego, wstydził się „Listów o Krakowie” i niechętnie się do nich przyznawał. Możliwe. W obozie Stańczyków nie mile wspomiano o młodzieńczych wzlotach — a radykalizm dawnych przekonani Tarnowskiego, Szuiskiego czy Kalinki ustąpił teraz na rzecz konserwatyzmu, streszczającego się w znanem: „Przy Tobie Panie stomy”.

„Nic dziwnego — powiada Tarnowski, biograf Kalinki — że autor Listów chcąc radzić i działać przeciw biernej ospałości jednych, a „ciemnej demokracji” drugich, młodzieńcem chwilowo pracujący w Bibliotece Jagiellońskiej jako amanuensis, wstąpił do redakcji Czasu”. — Dziwna zaiste logika! Tak jednak istotna dla całego obozu Stańczyków.

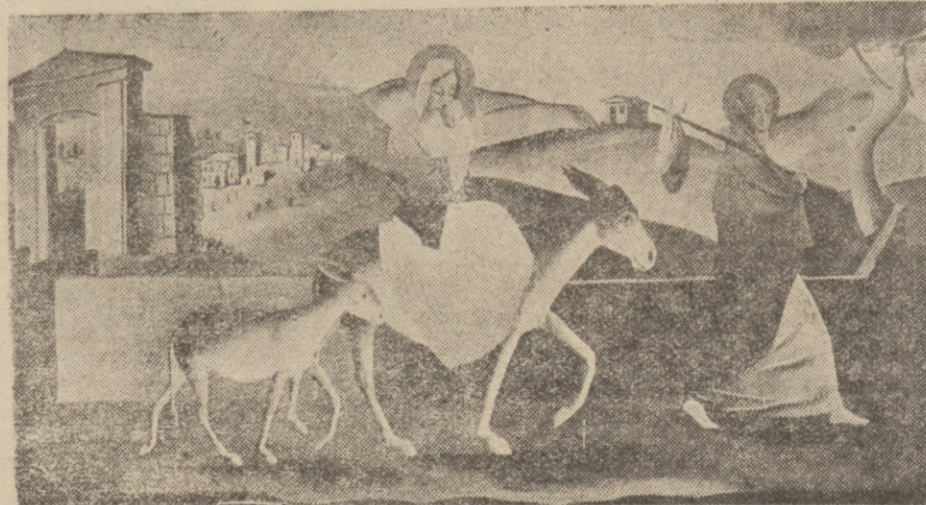
Ale dość o tem. Listy o Krakowie to najostrzejsza krytyka tego miasta, jaka się w literaturze pojawiła. Wszak Kraków w dramatach Nowaczyńskiego, na którego tyle inwektyw rzucono, jest mocno „wyidealizowany” i „pobronzowany” w porównaniu z listami Peławskiego. Bądź co bądź „Listy” to dokument spisany wprawdzie przez młodego człowieka, jednakże nie pozbawiony doświadczenia i pewnego posmaku aktualności.

Jeszcze na jeden szczegół pragnę zwrócić uwagę. Oto list VIII, w którym autor zajął krytyczne stanowisko wobec kobiety krakowskiej, nie jest pióra Peławskiego. Pisała go dawna przyjaciółka Kalinki — Zofia Wegierska.

„Listy o Krakowie” Walerjana Kalinki pozostaną na długi okres czasu źródłem poznania Krakowa i Krakowian w roku 1848. Przejaskrawione miejscami, żółcią raczej, niż atramentem pisane, kryją pod grubym nalotem subiektywnych poglądów sporo nieklamanej prawdy.

Przemysł w grudniu 1934

St. Sierotwiński.



Ucieczka do Egipt

# Legenda o „drogiej” książce

Jest taki jeden śliczny sonecik J. M. de Heredia „Lupercus”, — obrazek z czasów rzymskich. Tenci to Lupercus prosi napotkanego poetę o pożyczenie mu ostatniego tomu jego dzieła, na co poeta odpowiada dobrodusnie: „Uważasz, kochasiu, mieszkam daleko, droga do mnie ciężka, zmęczysz się... Idź lepiej na rynek do sklepu, — tam kupisz egzemplarz mego dzieła za parę sestercyj...”

Nie wiemy, czy Lupercus posłuchał życzliwej rady... Ale szlachetny ród „Lupercusów” nie wygasł, — i owszem rozkrzewił się bujnie, sięgając rozgazieniami daleko, daleko na północ, hen, poza Karpaty nawet.

I kiedy księgarnie stoją przeważnie pustka, — nasi domorośli „Lupercusi” trwają w ustawicznej pogoni za książką, którą dałoby się od kogo pożyczyć. Tylko, broń Boże, nie kupić!

Bo to „ciężkie czasy” no i oczywiście „Książka polska jest za droga”.

Czy naprawdę książka polska jest dzisiaj jeszcze za droga? Czy wydawcy i księgarnie naprawdę robią rańniej takie „kokosowe” interesy? Zostawiam na boku kwestję druku, papieru, kontrolatorów, no i wreszcie — honorarium autorskiego (zawsze w kalkulacji stanowi ono ostatnią, najdrobniejszą pozycję...). Są to niejako „tajemnice zawodowe” niedostępne dla profana. Ale jest jedna rzecz pewna, niewzruszona, mogąca służyć za najlepszy i najpewniejszy miernik: to wysokość nakładu.

Normalny nakład dobrej, przeciętnej powieści niemieckiej, francuskiej, angielskiej idzie conajmniej w dziesiątki tysięcy egzemplarzy. U nas obraca się on w granicach jednego do półtora tysiąca (w najlepszym razie!) egzemplarzy. Jeżeli książka, wyróżniona jakąś nagrodą, czy wyjątkowo poczytna, doczeka się „drugiego wydania”, — a więc dalszych półtora tysiąca egzemplarzy, — to mówi się już o „niebывалем powodzeniu”... książka — jak się to mówi, — jest „rozchwytywana”.

Nie trzeba być na to fachowcem, by zrozumieć, jaka jest olbrzymia różnica między kosztami produkcji książki przy nakładzie tysiąca, a dwudziestu lub 50 tysięcy egzemplarzy.

Nie trzeba też specjalnie podkreślać, że normalna wysokość nakładu książki polskiej — tysiąc egzemplarzy — przy 33 milionach ludności, — to rzecz poprostu kompromitująca dla naszej kultury.

Odpowie mi ktoś może na to: prawda, ludzie nie kupują książek, ale czytają je. Dowodem te biblioteki i wypożyczalnie, rosące wszędzie jak grzyby po deszczu. Jest w tem nieco racji. Czyta się dużo, — ale bezkrytycznie. Czyta się autorów głośnych, czyta się przedewszystkiem ze snobizmu. A wypożyczalnie licząc się z tem, ograniczają swe zakupy do rzeczy niezbędnych i głośniejszych, pomijając zupełnie młodszych, dobrych, ale nieznanych na rynku pisarzy.

No — i czyta się prawie wyłącznie tylko beletrystykę, w łwiej części tłumaczenia pisarzy obcych.

Zapewne — i wypożyczalnie są potrzebne, i one mają swoją kulturalną misję do spełnienia. Ale to nie wystarcza i nie usprawiedliwia zawstydzającego stanu naszego czytelnictwa i

smutnej sytuacji polskiej książki.

A jednak te paręset wypożyczalni, to najpoważniejsi, jedyni pewni konsumenci tej książki! Wydawca oblicza sobie w taki mniej więcej sposób: „wypożyczalnie zakupią jakieś 600 egzemplarzy, dalsze sto czy dwieście, przy odpowiedniej reklamie może uda mi się rozsprzedać przez księgarnie w ciągu roku, — no, i w ten sposób koszty nakładu mi się zwrócą...” Bo wydawca musi być dziś optymistą...

Chociaż, przyznać trzeba, w ostatnich czasach zauważyć się daje pewien zwrot na lepsze. Ludzie zaczynają kupować książki! Kupuje młodzież ucząca się, kupują i starsi. I co ciekawsze: obok wartościowych powieści największym powodzeniem cieszą się książki, popularyzujące różne gałęzie wiedzy ludzkiej. Wykorzystały te koniunktury niektóre firmy wydawnicze (Mathesis polska, Trzaska Evert i Michalski, Książnica - Atlas, Gebethner), wypuszczając na rynek cały szereg dzieł, oryginalnych i tłumaczonych, pióra pierwszorzędnych autorów. I choć wydawnictwa te — wobec niskich nakładów — są naprawdę stosunkowo drogie, — na takie książki jakoś pieniądze się znajdują.

Objaw to naprawdę pocieszający, zwłaszcza w zestawieniu z faktem, że zainteresowanie dla lekkiej beletrystyki a zwłaszcza dla tłumaczeń, znacznie równocześnie osłabło.

Drugie ciekawe zjawisko, coraz silniej występujące, — to **faworyzowanie przez publiczność polskich pisarzy**. Z tem powinni się liczyć wydawcy bardzo poważnie. Nie mamy dziś Sienkiewiczów, ani Reymontów, — ale już to młodych, zdolnych pisarzy czeka na upragnioną sposobność zaprezentowania się publicznie?

Na każdy konkurs, ogłoszony przez takie czy inne wydawnictwo, napływają z reguły całe setki rękopisów. Przypuśćmy, że 50 procent tychże idzie do kosza. Ale co się dzieje z resztą, wśród której niewątpliwie jest dużo rzeczy wartościowych i ciekawych?

Młody, początkujący autor nie może i nie będzie napewno pukał osobiście lub listownie do wszystkich po kolei wydawców, bo to trud stracony. Rękopis — o ile nie zaginie lub nie utonie odrazu w koszu, — zostanie mu zwrócony po paru miesiącach lub latach z grzeczną odpowiedzią: „z powodu nawału materiału... może kiedyś, później”...

Czy zatem nie byłoby wskazaniem stworzenie jakiejś organizacji, któraby pośredniczyła między wydawcą i autorem, informując obie strony o aktualnych potrzebach i zainteresowaniach rynku księgarskiego? Inicjatywa wyjąć powinna od Związku wydawców polskich. Tylko bez żadnych uroczystych komisji, ankiet, bez oglądania się na „czynniki powołane, którym dobro literatury polskiej leży na sercu”. Tak,

poprostu, po Kupiecku. Bo interes dla obu stron przedstawia się korzystnie.

Wreszcie jeszcze jedno:

Nierzadko spotykam się z takim powiedzeniem: „książka jest mi za droga. Poczekam parę miesięcy, a potem kupię ją za trzecią część ceny”.

Niestety — i to racja. Zarówno w stolicy, jak w każdym prawie mieście wojewódzkim kwitnie na ulicach obnośny handel książkami „za jedne 50 czy nawet 25 groszy”. W antykwariatach żydowskich kupisz za półtora złotej książki nierozciętą, której cena na sprzedaż ustalona była na 5 lub 6 złotych.

Panowie wydawcy! wy sami deprecjonujecie książki, sami przyczyniacie się do utrwalenia legendy o „drogiej książce”. To nieolejalnie i nie po Kupiecku. Rozumiem kalkulację takiego pana X czy Y: sprzedał 2/3 nakładu, pokrył koszty druku więc resztę sprzedaje za bezcen, bo każde 50 groszy, to jego czysty zarobek. Ale takie praktyki podrywają zaufanie, szkodzą i wam samym i księgarstwu.

Trzeba zerwać z tym procederem, wprowadzonym przez kilka żydowskich, drobniejszych firm wydawniczych.

I wówczas nie spotkamy się w dziennikach z podobnie kompromitującym ogłoszeniem, jak to niedawno czytaliśmy:

„Książka tańsza niż papier” Kilogram za 50 groszy!”

Szanujcie swój stan — i szanujcie tę książkę polską! (kr.)

## Zagadki historii rumuńskiej

Jesteśmy sąsiadami Rumunii, nasi królowie byli przez dłuższy czas jej lennymi zwierzchnikami, nasi magnaci mieszały się w jej sprawy, wogóle łączyły nas ożywione stosunki różnej natury, — a można się założyć, że na dziesięciu, co mówię, na stu wykształconych Polaków ani jeden nie potrafiłby nakreślić najogólniejszego zarysu jej dziejów, nie potrafiłby powiedzieć, skąd ten naród wziął się na naszej południowo - wschodniej granicy i jakiego jest pochodzenia.

Pewnie, że możnaby więcej mieć o tem wszystkim informacji. Ale pociechę może stanowić niezaprzeczony fakt, że zawodowi historycy są w dość podobnym położeniu. Tak wynika z ogłoszonej w tym roku książki angielskiego uczonego R. W. Weston - Seaton.

Z początkiem II w. po Chr. cesarz Trajan, pokonał króla Decebalę i z zdobytym terytorjum stworzył nową prowincję, Dację, osadzając w niej kolonistów rzymskich. Już tu trzeba zrobić pewne zastrzeżenie. Byli to, zdaje się, Rzymianie tylko z nazwy, a pochodzili z różnych krajów rozległego imperjum.

Sławna kolumna Trajana pokryta jest zarówno postaciami jego legionistów, jak Daków. Cóż stało się z Dakami? Czy pozostali na swej ziemi i zmieszali się z osadnikami, czy też wywedrowali gdzieś dalej na wschód po klęsce? Na to pytanie nikt nie znalazł odpowiedzi.

W każdym razie głównym terenem kolonizacji rzymskiej był Siedmiogród, gdyż szło przedewszystkiem o eksploatację tamtejszych kopalń. Zresztą konfiguracja kraju ułatwiała ogromnie obronę przed wszelkim najazdem.

Dalej wiemy, że panowanie rzymskie trwało do roku 271. Nacisk barbarzyńców był przyczyną wycofania przez cesarza Aureliana wojsk z Dacji. Znowu nie wiemy, czy ludność cywilna była objęta tą ewakuacją, czy pozostała na miejscu.

Teraz zaczęły się kołowe najazdy.

Pierwsi przyszl Gotowie, ale najwidoczniej krótko bawili ponieważ brak słów gockich w języku rumuńskim i w nazwach miejscowych. Te drugie są w znacznej części słowiańskiego pochodzenia, gdy po Gotach pojawili się Słowianie, po nich Awarowie, później Bułgarzy. Oni to w IX wieku panowali nad przyszłą Mołdawią i Wołoszczyzną. W tym czasie Węgrzy osiedlili się na równinie Panonii, którą do dziś dnia zajmują. W XI wieku podbili oni Siedmiogród.

Co podczas tych długich wieków obcych podbojów działo się z pierwotną ludnością? Sami Rumuni uważają się za potomków osadników z czasów Trajana, pomieszanych z najeźdźcami. Za Aureliana mieli wycofać się z kraju jedynie wojskowi i urzędnicy, reszta została i ulegając obcym wpływom, zdołała jednak utrzymać pewien jednolity charakter.

Zupełnie przeciwną teorię głoszą Węgrzy. Wedle nich Rumuni pochodzą od bałkańskich nomadów, którzy przeprowadzili się na północny brzeg Dunaju dopiero w XIII wieku i w coraz większej liczbie osiedlali się w Siedmiogrodzie, korzystając z opieki i udogodnień królów węgierskich dla przybyszów.

Prof. Weston - Seaton zajmuje stanowisko pośrednie. Jeszcze zdania, że oba poglądy są tendencyjne i mają podkład polityczny. Rumunom zależy na tem, aby uchodzić za potomków Rzymian. Kronikarze XVIII w. którzy poprostu uważali terminy Rumun i Rzymianin za dwie formy tego samego wyrazu, byli takimi samymi patriotycznymi poetami jak Wergili, wywodzący pochodzenie swych rodaków od Trojan.

Z drugiej strony Węgrom zależy na tem, aby ludność Siedmiogrodu przedstawili jako przybyłą późno i niezwiązaną z ludnością Mołdawi i Wołosz czyny silniejszymi węzłami.

Ostateczne zdanie profesora z Cambridge brzmi: Rumuni są to zrumunizowani (nie zromanizowani!) Dakowie, z silną przymieszką krwi słowiańskiej i mniejszą tatarskiej. Jest w każdym razie faktem, że ludność, zamieszkała od

Karpat po Pindus, a zajmująca także niektóre doliny Epiru i skrawki Istrii oraz północnej Dalmacji wykazuje coś, jakby wspólnotę rasową i językową.

Należy zwrócić uwagę na potężne pasma górskie, nieprzystępne i odstrasające najeźdźców, jakie stanowią północną i południową granicę tego obszaru. Wedle nich można dzisiejszych Rumunów podzielić na dwie grupy etniczne, dacką i macedońską. Cóż naturalniejszego, że podczas burz dziejowych, gdy naciskali wojownicy przybysze, mieszkańcy chronili się w góry, a gdy nastał czas spokojniejszy, stopniowo znów zajmowali urodzajne niziny?

Bądź co bądź, są to wszystko dedukcje i przypuszczenia. Tak też jest charakter dziejów rumuńskich XIII w. I dalszy ich okres mieści dużo zagadek. Dla jego scharakteryzowania warto stwierdzić, że od roku 1400 do 1700 Wołoszczyzna i Mołdawię miały mniej więcej po 65 władców — czyli przeciętny czas panowania wynosił niewiele ponad 4 i pół roku.

I tu nastęrcza się jeszcze jedno pytanie. Co było przyczyną tej niestabilności stosunków? Odegrało tu pewną rolę geograficzne położenie pomiędzy Polską, Węgrami a Turcją. Lecz przy czyniły te nie wystarczająco, prof. Weston - Seaton oskarża szlachtę rumuńską o brak zmysłu państwowego. Chłop, odznaczający się energią, pracowitością i przywiązaniem do ziemi, nie grał tu żadnej roli, klasy średniej poprostu nie było, a klasa rządząca odznaczała się burzliwym usposobieniem, drapieżnością i prywatą, a gdy w grę wchodziła chciwość lub ambicja osobista, chętnie szukała sposobów jej zaspokojenia — przy pomocy sasiadów.

Teoria prof. Weston - Seatonem bardziej przemawia do przekonania, że przegląd historii poszczególnych narodów europejskich wykazuje, iż spoiste i trwałe organizmy państwowe wytworzyły się tylko tam, gdzie powstała ekonomicznie silna i oświecona klasa średnia.

Jan Szarzyński.

# O polską powieść egzotyczną

Choć mamy i mieliśmy już od dawna bpinie „globtrotterów“, objeżdżających najdalsze zakątki świata, często tam „gdzie pieprz rośnie“, to jednak to nas zamykające do egzotyki dalekich podróży znalazło tylko słabe odbicie w polskiej powieści egzotycznej. Powieść t. zw. „egzotyczna“ w naszej dość bogatej literaturze należy właściwie do rzadkości, jeżeli pominiemy liczne opisy podróży, często pełne fantazji, których jednak zaliczyć nie można do powieści egzotycznej, w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Pierwszą próbą w tym kierunku była powieść **Jana Potockiego** (1761 — 1815), znanego uczonego i podróżnika, p. t. „**Rękopis znaleziony w Saragossie**“. Jest ona jednocześnie i pierwszą próbą nowej techniki pisarskiej, wprowadzając t. zw. „system szufladkowy“, w którym jedno zdarzenie wpływa z drugiego, tworząc niesamowicie długi łańcuch fantastycznych i sensacyjnych przygód. Przez długie lata — „Rękopis znaleziony w Saragossie“ był jedyną polską powieścią, której akcja dzieje się na tle egzotycznym.

Właściwy impuls do twórczości w tym kierunku dały przymusowe zesłania na Sybir. Powstaje cały szereg pamiętników naszych zesłańców, wydanych następnie drukiem, opisujących nie raz żywo i barwnie egzotyczne i tak mało znane życie na Syberji i jej ludzi. Najlepsze z nich i ongiś wielką poczytnością się cieszące, to „**Szkice**“ **Adama Szymańskiego**. Była to jednak przeważnie autobiografia na tle egzotycznego środowiska.

Pierwszym twórcą powieści egzotycznych na większą skalę nazwać można dopiero **Wacława Sieroszewskiego**, który również wiele lat przepędził na Syberji, a potem zwiedził Chiny i Japonię. Powieści jego są także przeważnie oparte na osobistych wrażeniach i przeżyciach, związanych z pobytem w tych egzotycznych krajach. Ten egzotyzm tła, będący wówczas sensacyjną nowością, obok doskonałości formy i mistrzowskiego odmalowania natury, pozyskał Sieroszewskiemu ogromną poczytność. I znowu Sieroszewski bardzo długo był jedynym poważnym reprezentantem egzotyki w naszej literaturze.

Dopiero po odzyskaniu niepodległości ożywił się nieco ruch w tym kierunku. Wśród tych tysięcy naszych rodaków, których los podczas wojny rzucał po najdalszych, najbardziej egzotycznych krańcach świata, znalazło się kilkunastu, obdarzonych talentem literackim. Ci, po szczęśliwym zakończeniu tułaczki i po powrocie do kraju, zapłodnieni olbrzymim materiałem osobistych przeżyć, niestety nie fantastycznych i „egzotycznych“, opisywali je w formie pamiętników, na które chętnych znajdowali wydawców.

Wśród nich na pierwszy plan wybił się odrazu **F. A. Ossendowski**. Książka jego p. t. „**Przez kraj bogów, zwierząt i ludzi**“, będąca kroniką jego niesamowitych przygód na Dalekim Wschodzie, podczas ucieczki przed bolszewikami, zdobyła sobie wprost rekordowe powodzenie i to nie tylko w Polsce, ale i na międzynarodowym rynku księgarskim. Po tym pierwszym eksperymencie, zachęceni powodzeniem, Ossendowski poświęca się całkowicie twórczości literackiej i objawia w tej dziedzinie ogromną płodność. Sypią się wprost książki, jedna po drugiej, w rekordowym czasie tłumaczone zostają na wszystkie języ-

ki świata. Po kilku latach Ossendowski staje się najbardziej znanym i popularnym autorem polskim w Europie i Ameryce. Po kilku książkach, będących rezultatem drugiej podróży, przedsięwziętej do Afryki, a mających charakter literatury podróżniczej, pisze Ossendowski swe pierwsze powieści, par excellence egzotyczne: „**Za chińskim murem**“, „**Orlica**“, „**Szkarłatny kwiat kamei**“ i „**Witeż**“.

Znacznie głębszy, choć mniej efektowny, jest drugi tułacz wojenny, **Ferdynand Goetel**. Pierwiastek osobistych przeżyć znajduje swój wyraz w opowieściach jego „**Kar - Chat**“, „**Patnik Karapeta**“ i „**Ludzkość**“. Bardziej go w nich interesuje proces psychologiczny swych bohaterów — tułaczy, od plastycznego oddania egzotycznego tła i egzotycznych efektów. Charakter egzotycznej powieści nosi właściwie również i powieść jego „**Z dnia na dzień**“, oraz ostatnia „**Serce lodów**“, której akcja dzieje się w lodowatej Islandji.

Obok tych dwóch asów naszej powojennej literatury egzotycznej, zaczyna uprawiać egzotykę w literaturze prof. **Michał Siedlecki** (bardzo ładne „**Opowieści malajskie**“), nie umiejący jeszcze opanować formy literackiej, ale ciekawie się zapowiadający **Jerzy Bohdan Rychliński** (nowele nagrodzone na kilku konkursach) **T. Parnicki**, który o swej młodości, spędzonej w Chinach, umie opowiadać barwnie i zajmująco, oraz jeden z najmłodszych **W. Niezabitowski** (**Golfsztrom**, egzotyczno - sensacyjna powieść, żywo napisana, o zamrożeniu Europy przez odwrócenie Golfsztromu). Próbował również egzotyki i **A. Marczyński** (**Pieczeń z antylopy**), choć bez większego powodzenia.

Do powieści o charakterze już raczej

podróżniczym należą powieści **Jerzego Ostrowskiego** (**Ziemia Obiecana**, na tle wrażeń z Brazylii), oraz **Zbigniewa Zaniewickiego** („**Zielone pleko**“). Książki **Giżyckiego**, **Lepackiego**, **Makarczyka**, **Pisulińskiego**, **Wańkowicza**, **Dębickiego** i wielu innych, to są już wyłącznie monografie z egzotycznych podróży.

Z tego pobieżnego, nie wyczerpującego dokładnie całego materiału, szkicu, okazuje się, że okres przymusowej, wojennej tułaczki zapłodnił największą ilość powieściopisarzy, w kierunku literatury egzotycznej. Tak jak przed wojną zesłanie na Sybir. W pierwszych zaś tłustych latach po odzyskaniu niepodległości, prąd do wyjazdów zagranicę i zwiedzania egzotycznych krajów był jeszcze dość żywy. Dziś to wszystko się zmieniło. Przeżycia wojenne wycisnięte zostały jak cytryna, a na podróże, zwłaszcza dalsze, nikogo już nie stać. To też umilkł nawet płodny Ossendowski, już poprzednio przerzuciwszy się do powieści historycznej. W literaturze egzotycznej po okresowym rozkwicie nastąpił ostatnio gwałtowny upadek i zastrój. Dziś polska powieść egzotyczna, czy też podróżnicza, należy już do rzadkości.

A nie zapomnijmy, że dobra powieść egzotyczna, jest może jedynym rodzajem literackim, który może liczyć na powodzenie zagranicą i zdobyć bardzo chłonne, zagraniczne księgarskie rynki (Exemplum Ossendowski, najbardziej znany pisarz polski poza granicami kraju). Taka powieść może być najlepszym środkiem propagandy i popularyzacji literatury polskiej.

Czy można w dzisiejszych ciężkich, kryzysowych czasach, ożywić twórczość literacką w tym kierunku? Przewidzyszkaniem przez umożliwienie podróży tym powieściopisarzom, którzy

mają zamiłowanie do tematów egzotycznych. Nie można bowiem napisać dobrej powieści „egzotycznej“, bez dokładnej znajomości kolorytu lokalnego, siedząc przy stoliku kawiarnianym i popijając pół czarnej, nawet będąc członkiem Akademii Literatury.

Znalazłyby się może na to sposoby. Można wysłać młodszych, wybitniejszych literatów na drugorzędne choćby stanowiska do naszych najdalszych placówek konsularnych, gdzie w bardzo „egzotycznych“ krajach. Może któryś z nich stałby się przyszym, polskim Claude'em? Akademia Literatury mogłaby również pomyśleć o utworzeniu jeszcze jednego rodzaju stypendjum, wszedłszy w porozumienie n.p. z Ligą Morską. Można takiego młodego kandydata na egzotycznego powieściopisacza wysłać n. p. w podróż morską, którymś ze statków szkolnych, podczas odbywania dorocznego ćwiczeń. Liga Morska zawsze twierdzi, że morze to okno na świat. Istotnie, ale przez to okno należy zdobyć świat, a nie wystarczy siedzieć w nim z założonymi rękami.

Ów stypendysta, w miłym towarzystwie marynarzy, zwiedziłby szmat świata, zapoznał się z egzotycznym tłem i środowiskiem i zaczerpnął zapas natchnienia do przyszłych powieści. Może by dotarł aż do owych słynnych wysp Glapagos, na których rozegrał się ostatnio ów dziwny, niewyświetlony jeszcze dramat, o którym prasa międzynarodowa podaje fantastyczne pogłoski. Tło i temat do powieści wspaniały! Ale takich tematów znalazłoby się więcej. Trzeba tylko... ruszyć w świat!

Kto zresztą wie! Może z grona coraz lepiej rozwijającej się naszej marynarki handlowej i wojennej powstanie kiedyś nowy Conrad? Taki Conrad, który nie będzie szukał obcych okretów i pisał w obcym języku, lecz pozostanie w polskiej marynarce i w... polskiej literaturze.

Henryk Lubiński.

## Historja magji i sztuk magicznych

W lokalu Oddziału badań psychicznych Uniwersytetu Londyńskiego w South Kensington urządzono wystawę wszelkich książek, odnoszących się do demonologii, magji wróżbiarstwa, sztuk czarodziejskich i spirytyzmu. Najdawniejsze dzieła pochodzą z końca XV w., najnowsze z bieżącego roku.

Najwcześniejszy angielski podręcznik dla zawodowych kuglarzy nosi tytuł **Hocus Pocus Iunior**, ma druk gotycki i wyszedł w r. 1634 przedrukowano go w dwadzieścia lat później pod obszerniejszym tytułem: „**Anatomja prestidigitatorstwa czyli Sztuka kuglarska przedstawiona w właściwych kolorach w swej całości, prosto i dokładnie tak, że każda pozbawiona wszelkich wiadomości osoba może z niej dojść do pełnej praktycznej biegłości po krótkim ćwiczeniu**“.

Dowiadujemy się tu, jak wywołać złudzenie, że kamień znika z zaciśniętej pięści, że karta znika i znajduje się w orzechu, że tyka się noże, że polyka się podługowaty pudding (jest on zrobiony z cyny i kółko zachodzi w kółko), że obcina się sobie nos, że przeciąga się przez niego sznur, że wbija się sobie sztylet w czoło, że zlonie się ogniem z ust, jak wyciąga się z nich różnokolorowe wstążki, wypija się jakiś płyn, a potem wylewa go z rękawa, zawiązuje się na chustce supełki, które same rozwiązują się na rozkaz, przemienia się monetę w inną i t.d. Jedną z najefektowniejszych sztuk nazywa się „**ścicie św. Jana**“ i

polega na nakryciu „ofiary“, która chowa głowę w dziurę w stole. Następuje cios, a po podniesieniu sukna głowa leży na misie.

Ciekawsze jednak są książki, poświęcone nie sztukom, ale czarom. W czasie, gdy na każdym kroku upatrywano w czemś działanie sił nieczystych i gdy palono czarownice, nie brakło śmiałych ludzi, którzy występowali przeciw zabobonom. Takim był **Reginald Scot**, autor „**Zdemaskowania sztuki czarnoksiężskiej**“ z r. 1584. W podtytułach zaznacza, że wyjaśnia i wykrywa „**łotrówskie sprawy czarowników i czarownic, łajdactwa zaklinaczy i sztuki zaklinaczy**“. Autor był humanistą o zupełnie nowoczesnym sposobie myślenia. Nie zadowala się pozorami, lecz żąda wszędzie dowodów, za które wedle niego „**bierze się przypuszczenia**“ i na tej podstawie skazuje się w procesach za czary. Przechodzi kolejno cały szereg takich spraw sądowych, wykazując niccoś materiału faktycznego i naiwność sędziów. Przyznaje, że stare kobiety czasem same uważają się za czarownice, co wedle niego pochodzi z „**melancholji**“.

Egzemplarz, wystawiony w South Kensington, pochodzi z Yatton Hall. Ponieważ wiadomo, że Szekspir tam bywał i że znał Scota, można z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, że czytał właśnie tę książkę.

Ze Scotem polemizował **Jakób VI szkocki** (później **Jakób I angielski**), ów monarcha, co gdy wybrał się do Danii w załoty, i trafił po drodze na burzliwą

pogodę, przypisał to czarom, postawił przed sądem jednego z uczestników wyprawy, wymusił na nim torturami przyznanie się do winy i kazał go stracić w okrutnych męczarniach. „**Demonologia**“ tego naiwnego monarchy dowodzi, że wzbierała nowa fala zabobonów. Humanizm zburzył je w oświeconych sferach katolickiego świata, ale reformacja zepsuła jego dzieło. Pod jednym tylko względem jest król **Jakób** umiarkowany. Nie wierzy, aby ze związków mężczyzn i kobiet z piekielnymi sukubami i inkubami rodziły się potwory. Są to dzieci o wyglądzie normalnym. Rewolucja purytańska przynosi z sobą tysiące prorocत्व. Zdaje się, że coś podobnego, choć w mniejszych rozmiarach, zaszło po rewolucji francuskiej. Dowodzi tego ciekawa broszura, której pomysły autor nadał tytuł „**Prorocत्व znalezione w bagażach Napoleona po bitwie pod Waterloo**“.

Król **Jakób** nie był odosobniony w swej silnej wierze w czary. Z książką podobną do jego „**Demonologii**“ wystąpił w r. 1668 **Józef Glanoff**, nie tylko człowiek z wyższym wykształceniem, ale i członek świeżo założonego Królewskiego Towarzystwa (umiejętności ścisłych). Z książki tej czerpał obficie autor „**Robinsona Crusoe**“ **Defoe**, który nigdy nie cofał się przed plagiatem i chętnie wyzyskiwał ludzką naiwność. Wystawa mieści aż sześć jego broszur o czarach i duchach.

Nowsze książki zawierają znowu opisy seansów, polemiki w sprawie medjów, ich pamiętniki, naukowe analizy zjawisk spirytystycznych i t. d. Zdaje się, że skłonność do zabobonów jest wrodzona człowiekowi, tylko w różnych czasach przybiera różne formy. A. J.